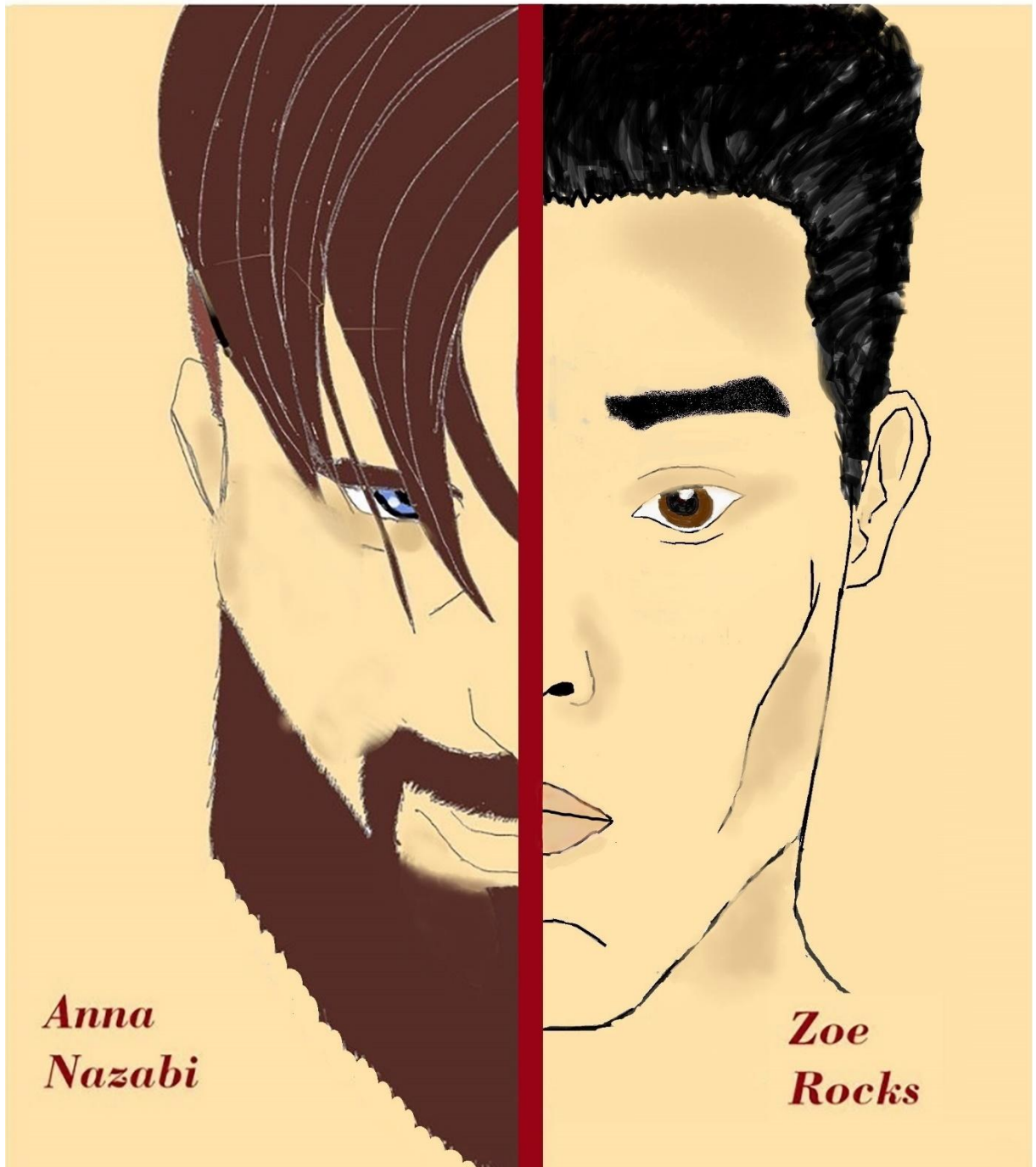


LUDY WEDONU

Śmiertelna Zadra



***Anna
Nazabi***

***Zoe
Rocks***

ANNA NAZABI

ZOE ROCKS

CYKL LUDY WEDONU - CZĘŚĆ II

ŚMIERTELNA ZADRA

© Copyright by Anna Nazabi i Zoe Rocks
Projekt okładki Anna Nazabi i Zoe Rocks

ISBN: 978-83-8166-171-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

*Rozpowszechnianie bądź kopiowanie całości lub części publikacji zabronione
bez pisemnej zgody autora.*

Książka jest fikcją literacką.

Wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń rzeczywistych są przypadkowe.

Wydanie I 2020

HELLO

Przetęcze Zębów Wirgona

Zażywał w życiu wiele substancji wysokowych, ale takiej jazdy jeszcze nie doświadczył. Jego żołądek skręcił się w ciasny supeł, a skóra piekła i tężała, jakby lada moment miała oderwać się od mięśni. Najgorszy był jednak porażający strach i efekt zaskoczenia. Uderzył w podłoże z brutalną prędkością, zapadając się po czubek głowy w lodowatym puchu. Krew zawyla w żyłach. Przed chwilą wewnątrz płonął, a teraz zamarzał. Co się działo do cholery?

Jakimś cudem wygramolił się ze śniegu, z trudem poruszając skostniałymi kończynami. Wiatr pozbawił go tchu, nim oczy na dobre przyzwyczały się do porażającej bieli otoczenia. Było mu zimno, kurewsko zimno. Rozglądając się wokół, zaczął gwałtownie pocierać ramiona. Obce niebo wisiało mu nad głową, pochmurne i złowieszcze, z przerażającym zarysem dwóch wschodzących księżyców, które goniły słońce za pobliskie szczyty. Śnił? Przeżywał właśnie koszmar wywołany opioidami i tantrycznym tańcem? Co było prawdą, a co ułudą? Poza fizycznym bólem niczego nie był pewien.

Wypatrzył inne ciała wokół siebie. Hućwa, Kwidzyński, same znajome gęby. Piotrek był jak na torturach z powodu złamania otwartego kości piszczelowej. Jego twarz, podobnie zresztą jak facjata Hućwy, przypominała poobijany worek treningowy. Nos był ewidentnie złamany. Zakrzewski pamiętał ten ból aż za dobrze i nawet zdobył się na współczucie, chwytając pod pachy wierzgającego Hućwę. Nie, to nie był Hućwa. Piękniś, który ośmielił się podkopać interes *Drugiego*, został przecież bezpowrotnie poświęcony.

- Paweł, to ty? – zapytał chudzielca, który trząśł się jak osika. Użyczyłby mu wierzchniego okrycia, ale miał na sobie tylko przepocony T-shirt, w dodatku nie pachnący fiołkami. Chwycił brutalnie za szpiczasty podbródek, zmuszając mężczyznę, aby na niego spojrzał. – Odpowiadaj!

Hućwa dłuższą chwilę analizował jego słowa, po czym wychudłą twarz wykrzywił wściekły grymas. Szarpnięciem wyrwał się z uścisku.

- Jak mogłeś?
- Mogłem, co? Pomóc twojej dupie wygramolić się ze śniegu?
- Wiesz, o czym mówię, o twoim diabelskim rytuale!
- Wyświadczyłem nam przysługę.
- Przysługę? – *Drugi* westchnął gorzko. – Zrujnowałeś mi życie!
- Tylko dzięki mnie jeszcze żyjemy. To ciało umierało!

- Zabiłeś niewinnego człowieka!
- Zapewne nie jednego.

Drugi spojrział z odrazą, którą Zakrzewski przerabiał wielokrotnie. Splatając dłonie na piersi, przeczekał niemy osąd, który zakłócił żaloszny jęk Kwidzyńskiego. *Drugi* rzucił się z pomocą, ale waga piórkowa skutecznie utrudniała mu spionizowanie przyjaciela. Gdyby nie parszywy mróz, bezwzględny wiatr, wysokie ciśnienie i powietrze z rozrzedzoną zawartością tlenu, Zakrzewski uśmiełby się po pachy, obserwując groteskową scenę. Warunki nie sprzyjały jednak rozbawieniu, szczególnie gdy pofatygował się do skarpy, aby zerknąć w dół na zupełnie obcy krajobraz. Musieli czym prędzej ruszać dupy w troki.

Rozejrzał się po pozostałych, którzy powoli, o własnych siłach gramolili się ze śniegu. Sebastiana, Piąchę i Sergieja mógł uznać za potencjalnych sprzymierzeńców. Bardziej skomplikowana była kwestia Rinudina, którego obecność na lodowatym zadupiu z pewnością nie była przypadkowa. Jeżeli portal został otwarty, Rinudin musiał maczać w tym palce. Niewiele myśląc, Zakrzewski szarpnął go za ubranie.

- To twoja sprawka?
- Niby co? – Czarnowłosy próbował poluzować uścisk. Miał lodowate palce i sine wargi, odsłaniając zęby zaciśnięte w daremnym wysiłku.
- Gdzie jesteśmy do kurwy nędzy?
- Skąd mam wiedzieć?
- Nie kłam! – Zakrzewski potrząsnął nim brutalnie. – To nie twoje niebo? – Oskarżycielskim palcem wskazał upiorne księżyce. – Takich widoków się nie zapomina.
- Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie rozpoznaję tego miejsca.
- Nie wierzę! – Cyniczny rechot Sergieja zabrzmiał upiornie pośród szczytów. – Chcacie mi powiedzieć, że Ernest miał rację? Mam uwierzyć, że ten zdiadziały, skurwysyński gnój nie gadał od rzeczy, pieprząc o innym wymiarze?!

Mężczyzna wyraźnie utykał, a na jego czole kielkował pokaźnych rozmiarów siniak. Zakrzewski nie pamiętał zbyt wiele po przebudzeniu z transu, ale po obrażeniach pozostałych wnioskował, że ominęła go porządna zadyma. Wszyscy poza nim i Sebastianem byli w jakimś stopniu pokiereszowani.

- Właśnie próbuję ustalić fakty – rzucił oschle, ponownie skupiając uwagę na Rinudinie.
- Otwarłeś portal, za pomocą tej swojej pieczęci?

- On go otwarł – Czarnowłosa wskazał Sergieja, który prostował nadszarpnięty bark. – Specjalnie rozbił pieczęć.
- Zajebię! – ryknął Sergiej. – Nie zwalaj tego na mnie pieprzony dziwolągu! Nie miałem pojęcia, co się stanie!
- Ostrzegałem, co się stanie!

Zakrzewski przystopował Sergieja, opierając dłonie na jego piersi. Rosły najemnik był niebezpiecznym sukinsynem.

- Łapy precz! – Blondyn odepchnął jego dłonie. – Nikt nie będzie robił ze mnie idioty!
- Teraz nie jest najlepsza pora! – Zakrzewski spojrzał na niego z góry, wykorzystując przewagę wzrostu. – Stało się, rozbiłeś kamień, trudno. Teraz musimy ustalić, gdzie nas wywiało, a przede wszystkim...
- I tak by to zrobili! Ernest przyznał, że wraz z tym dupkiem planuje otworzyć portal. Skończyłoby się dokładnie tak samo!
- Zrozum, do kurwy nędzy, że to w tej chwili nieistotne! Jesteśmy w czarnej dupie i jak zaraz nie ruszymy z miejsca, zostaną z nas mrożonki! – Zakrzewski warknął wściekle, odwracając się do Rinudina. – Czy kamień musiał otworzyć przejście do twojego świata?
- Nie znam magii, jaką posługują się Arg-agule. To oni zaklinają zargonitowe pieczęcie.
- Ale to ty miałeś jej użyć.
- Prawdopodobnie jesteśmy w Wedonie – Rinudin przyznał niechętnie, wytrzymując spojrzenie Zakrzewskiego. – Nie wiem jednak gdzie. Nigdy nie byłem w tej krainie.

Zakrzewski musiał uwierzyć na słowo. Warunki były mordercze, a opóźnianie wymarszu dramatycznie zmniejszało ich szanse na przeżycie. Skoro Rinudin nie potrafił wskazać właściwego kierunku, pozostało im parcie na oślep i liczenie na łut szczęścia. Problem w tym, że pomyślność nie sprzyjała głupcom, a pewne było, że *Drugi* nie zostawi Kwidzyńskiego. Aż ciężko było patrzeć, jak Piotrek opiera ramię na jego cherlawym karku. Po jednym kroku wylądowali w śniegu. Było oczywiste, że w duecie nie mają szans. Zakrzewski z ociąganiem przejął balast i ignorując wrzaski grubasa, chwycił go pod pachy.

- Jest ci chociaż zimno, dziwolągu? – Sergiej spytał jadownicę. – Chuj wie, jakie voodoo zafundował ci ten szaman. Może jesteś pieprzonym zombie? Mróz ewidentnie ci nie szkodzi.

Zakrzewski skwitował oskarżenie wyprostowanym palcem. W tej chwili bynajmniej nie zamarał, aczkolwiek miał świadomość, iż napędzał go narastający gniew. Ktoś odpowiadał za to, co się stało i miał ochotę wyciągnąć konsekwencje.

- Ernest opowiedział mi, jaki z ciebie psychol!
- Zamknij się, musimy iść!
- Ja nic nie muszę! – Sergiej tradycyjnie nie wiedział, kiedy odpuścić i bezmyślnie tracąc czas, zaatakował Zakrzewskiego. – To twoja wina! Gdyby nie pierdolona Baśka i wasz zryty beret nie byłoby nas tutaj! – Rozsiewał wszędzie spienioną ślinę, zadziwiająco żywotny jak na ofiarę siniaków, zwichnięć i hipotermii.

Walnęli w śnieg. Po dwóch strzałach w mordę Zakrzewski zagotował się z wściekłości, co notabene spowolniło proces zamarzania. Oddał z impetem, ale wkrótce sztywne paluchy zacisnęły się na jego krtani. Skąd Sergiej miał tyle krzepy, pozostawało tajemnicą. Zakrzewski z trudem oplótł go nogami i strącił z siebie, nadwyrężając kilka kręgów.

- Odpierdol się – sapnął, przygwożdżając blondyna do ziemi i krzywiąc się z powodu pulsowania w krzyżu. – Nie ja przeniosłem nas na pieprzony Everest!
- Z Everestem bym tego nie porównywał. – Sebastian dowlókl się do nich, aby ukrócić zapasy w śniegu. – Na Evereście żaden z nas nie mógłby oddychać.
- Dzięki za obserwację – Zakrzewski stwierdził sarkastycznie, odsuwając się od buzującego Sergieja.

Potyczka, jakkolwiek nie byłaby mu na rękę, z pewnością zbawiennie pobudziła im krążenie. Czy ten imbecyl nie mógł zrozumieć, że groziło im zamarznięcie? Nim wyartykułował pretensję, blondyn nie wiadomo skąd wyciągnął kałacha i strzelił do Rinudina, wywalając przy tym połowę magazynku.

Zakrzewski padł na pysk, lada moment spodziewając się lawiny. Gdy tylko w przestrzeni umilkły strzały, wyrwał Sergiejowi karabin i zdzielił go kolbą w skroń. Potem odwrócił się gwałtownie, gorączkowo szacując zniszczenia. Pięcha dostał, umierał. Sebastian bezskutecznie próbował zatamować krwawienie. *Drugi* odciągnął Piotrka na bezpieczną odległość, a Rinudin zaciskał palce na krwawiącym ramieniu. Całe szczęście Sergiej nie podziurawił go jak sito, co dosadnie świadczyło o jego nadwątłonej kondycji.

- W porządku? – Zakrzewski spytał, pomagając mu wstać ze śniegu. Oczy czarnowłosego zionęły nienawiścią i gdyby Sergiej nie zarobił już w szczękę, z pewnością teraz oberwałby za swoje.
- To tylko draśnięcie.

- Całe szczęście... – Zakrzewski urwał nagle, dostrzegając w oddali ciało z rdzawą czupryną – tylko nie to – szepnął, brodząc w puchu, w stronę nieruchomego chłopca.

Brak śladów krwi świadczył o tym, że smarkacz nie dostał rykoszetem. Nie byłoby go jednak tutaj, gdyby Zakrzewski nie zezwolił mu na wyprawę do pieprzonej dżungli.

Kłękął przy ciele, odwracając je na plecy. W tym samym momencie chłopiec szarpnął się i wrzasnął.

- Nie wrócę do domu!
- To masz akurat jak w banku. – Zakrzewski prawie uściskał gnojka. – Trafiliśmy do innego wymiaru. O powrocie do domu, możesz na razie zapomnieć.

Młody rozwarł usta, spoglądając na niego, jak na powiększony zestaw z frytkami.

- Poważka?
- Poważka. Jak inaczej wyjaśnisz fakt, iż zamarzamy pośród gór?
- Wcześniej byliśmy w dżungli, a to też było czadowe.
- Ale tam poleciliśmy, a tutaj... – Zakrzewski pamiętał mgliście, co stało się w gwatemalskiej wiosce, więc o merytoryczne wsparcie poprosił Sebastiana.
- Tutaj wciągnął nas zajebiście spektakularny wir, który zniszczył chatki dzikusów i z dużym prawdopodobieństwem wielu z nich pozabijał. Naszych też zresztą nie oszczędzał. Widziałem, jak Miszce odjechało rękę...
- Na miłość boską, wystarczy tych szczegółów! – Piotrek zapominał o własnym cierpieniu, gdy w grę wchodził instynkt nadopiekuńczej matrony. – Robin jest przemarznięty i przemoczony. Okryjcie go czymś!
- Niby, czym? – Sebastian rozejrzał się wokół, jakby próbował wypatrzyć szlafrok w bezkresnych zwałach śniegu.
- Nie wiem! Czymkolwiek! Nie powinno go tu być!
- Zajebiście, że tu jestem! – Smarkacz, nie podzielał rozterek Piotrka. Z pomocą Zakrzewskiego podniósł się z podłoża, dygocząc z zimna i przestając z nogi na nogę. Podobnie jak większość z nich miał na sobie lekkie obuwie, szorty i krótki rękawek. – Wolę to od... Od... Od... Od... – Szczerkające zęby utrudniały mu komunikację.
- Spoko młody, rozumiemy. – Zakrzewski skinął na Sebastiana, który zbliżył się z ociąganiem.
- Co jest, szefie?
- Poniesiesz Robina.
- Bez przesady, smarkacz może chodzić.

- Jest przemarznięty.
- Jak my wszyscy.
- To jeszcze dziecko, Seba, nie rób wiochy.
- Nie robiłbym wiochy, gdyby to dziecko nie wpierdalało za troje! Waży chyba z sześćdziesiąt kilo!
- Ja... Ja... Ja... – Cokolwiek Robin próbował powiedzieć, nie doczekało się zrozumienia. Zakrzewski zgarnął Sebastiana na stronę.
- Przynajmniej go podtrzymuj. Ogrzej go swoim ciałem.
- On powinien mnie grzać! Jest obrośnięty bekonem.
- Ja pierdolę, ależ z ciebie patologiczny gość.
- Czemu sam go nie poniesiesz?
- Bo będę taszczył prawdziwą słoninę. – Zakrzewski wskazał Kwidzyńskiego, który nawet nie udawał, że nie słyszy obraźliwych określeń. Z rezygnacją pokręcił głową, powstrzymując *Drugiego*, aby nie narobił rabanu w imię walki o dobre imię przyjaciela.

Sebastian rozważył to wyjaśnienie i po chwili niechętnie przytaknął. Oplótł chłopca ramieniem, podczas gdy Zakrzewski z wielką łaską zebrał z ziemi Kwidzyńskiego. Miał świadomość, że godząc się na wleczenie grubasa, praktycznie popełniał samobójstwo.

Drugi oczywiście nie docenił jego gestu. Zamiast ruszyć w drogę, tkwił jak kulek w śniegu.

- A on? – odezwał się, wskazując nieprzytomnego Sergieja.
- Chuj z nim.
- Nie możemy go zostawić!
- Nie? – Zakrzewski usadził Piotra i z irytacją podszedł do *Drugiego*. Górował nad nim wszystkim, wzrostem, wagą i muskulaturą. Z nich dwóch to on dopiął swego i miał ochotę odegrać się za lata poniewierki. – To go kurwa dźwigaj, ale będzie jeszcze trudniej niż z grubasem. Mam w dupie Sergieja. Nie zamierzam za niego zdechnąć.
- Paweł, musimy czym prędzej zabrać stąd dziecko – Piotrek stęknął błagalnie, wlepiając ślepią w przyjaciela. – Ono jest najważniejsze.
- I nie masz nic przeciwko zostawieniu jednego z nas na śmierć?
- To on otworzył portal – Rinudin rzucił chłodno. – Niepotrzebnie wszystko skomplikował.

- Bo, co? Bo pokrzyżował twoje plany? Gdyby tego nie zrobił, mógłbyś zaprowadzić zamęt według własnego widzimisie?
- Gdyby tego nie zrobił – czarnowłosa zbliżył się, spoglądając na *Drugiego* z góry – być może udałoby mi się otworzyć portal prowadzący w odpowiednią część Wdonu, w pobliże argu, w pobliże twojej matki. Nie muszę chyba przypominać, że uprowadzili ją Szarzy Elijak, a żaden z nich, ze mną włącznie, nigdy nie napatoczył się na śnieżne szczyty. Moi bracia i siostry znają Wedon wzdłuż i wszerz, ale to miejsce jest zupełnie obce!
- Zaraz, zaraz, powiedziałeś, że prawdopodobnie jesteśmy w Wedonie – Zakrzewski wtrącił zaalarmowany, bo *Drugiego* i tak zatkało. Z zaszklonymi oczami, dławiąc się myślą o Baście, odsunął się chybottliwie i prawie zarył o ziemię. – A teraz twierdzisz, że nigdy nie słyszeliście o Evereście?
- Wydaje mi się, że to po prostu druga strona.
- Druga strona?
- Możemy pogadać o tym później? – Sebastian ponaglił, dygocząc z zimna. Zakrzewski nie mógł, nie przyznać mu racji. Rozczarowany porzucił wątek i spiął mięśnie, aby na powrót dźwignąć Kwidzyńskiego.
- Naprawdę chcecie go zostawić? – *Drugi* uparcie oponował za Sergiejem. Blondyn od kilku minut leżał twarzą w śniegu, więc najpewniej już i tak był jedną nogą w grobie.
- Sergiej do nas strzelał – Piotrek jęknął z trudem.
- Spanikował.
- Usprawiedliwiasz go?
- Nie. – *Drugi* bezsilnie zacisnął wargi. – Po prostu wiem, że to się zemści.
- Niech się mści – Zakrzewski rzucił wściekle, ponagłając wszystkich, aby zaczęli forsować zbocze.

Począł łaskawie, aż *Drugi* go wyprzedzi, po czym zamknął pochód z Piotrkim uwieszonym na ramieniu. Zejście nie wydawało się szczególnie strome, ale gruba warstwa śniegu mogła ukrywać niebezpieczne uskoki i rozpadliny. Wichura wznosiła się coraz bardziej i wkrótce widoczność została znacznie utrudniona. Strzępy letniej odzieży w najmniejszym stopniu nie chroniły przed mrozem, a nieodpowiednie obuwie przepuszczało ziąb i wszechobecną wilgoć.

W ciągu kilku minut na rzęsach i brodach maszerujących osiadła gruba warstwa śniegu, a złowieszczy skowyt wiatru potęgował wisielczy nastrój. Zakrzewski miał nadzieję, że

odzyskanej po latach wolności nie okupi zgonem pośród gór, stając się czasowo-przestrzennym paradoksem. Miał wrażenie, że godzinami brodzi w śniegu za ledwie widocznym zarysem pozostałych, a w którymś momencie Kwidzyński zwałił się na niego całym ciężarem. Zakrzewski wrzasnął, próbując przekrzyczeć dudnienie wiatru, ale z jego ust wyrwał się ledwie słyszalny charkot. Gardło skostniało jak cała reszta tkanek, a moc wyparowała z niego razem z wściekłością. Naiwna dobroduszość jak zwykle ugryzła go w tyłek.

Odsunął skostniałe ramię, pozwalając, aby Piotrek wałnął o ziemię. Nikt z pozostałych nie zwrócił na to uwagi. Nikt się nie zatrzymał. Nikt ich nie usłyszał i po dłuższej chwili płytkiego sapania, Zakrzewski zaczął podejrzewać, że już dawno zostali w tyle. Kwidzyński spowolnił go do tego stopnia, że już dobry kawał drogi snuł się w ciemno za splątanymi płatkami śniegu.

Oparł się o jego ciało i poddał odrętwieniu.

Konieczność oszczędzania oddechu powstrzymywała go od zapalenia fajki lub nucenia ulubionej pieśni. Płuca piekły od siarczystego mrozu i musiał uważać, gdzie stąpa, aby ustrzec się przed upadkiem z zabójczej wysokości. Źle zrośnięta kość lewej nogi po dziś dzień przypominała mu o skutkach niegdysiejszego ryzykanctwa. Kulał, ale przynajmniej przeżył. Arte odnalazł go, opatrzył i wziął pod swoje skrzydła. Dzięki temu Garrett nauczył się rozpoznawać ścieżki.

Przystanął na chwilę, dając odpocząć spracowanym mięśniom. Za plecami miał horyzont Wielkiej Wody, upstrzonej zębiskami skał i łęgowskimi krwiożerczych bestii. Po przeciwnej stronie rozrastał się cywilizowany świat maradów. Za każdym razem, gdy schodził do Keresh lub Zikuto uderzał go postępujący rozrost ludzkich osiedli, kontrastujących z dzikością wschodnich terytoriów. Coraz cieńsza granica dzieliła te dwa światy. Konflikt wisiał w powietrzu...

Nie powinno go to obchodzić. Ścieżki tak długo stały przed nim otworem, jak długo strzegący ich ufali w jego neutralność.

Westchnął ciężko świadom, iż powinien ruszyć w dalszą drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi, a on miał do pokonania jeszcze naprawdę spory odcinek. Zacisnął palce na lejcach i napiął barki, ale przed kolejnym zrywem powstrzymało go niecodzienne zjawisko na niebie. Świetlisty punkt wybrzuszył barierę chmur, po czym wydłużył się i pęczniał, emitując

podejrzane odgłosy. Nieprzyjemny pisk narastał w zastraszającym tempie, doprowadzając wkrótce do potężnego łupnięcia. Huk poniósł się echem po szczytach Zębów Wirgona. Garrett padł na ziemię, spodziewając się lawiny, ale stoczyły się jedynie warstwy wierzchniego śniegu. Zerwał się z miejsca i przeszedł kilka metrów, wypatrując oznak gwałtownego incydentu. Przeczucie podpowiadało mu, że miał do czynienia z magią, ale w najbliższej okolicy nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Nic się nie tliło, nie mieniło, a tym bardziej nie dymiło, lecz nim zdążył na dobre otrząsnąć się z zadumy, przestrzeń wypełniła przeciągła salwa huków. Ponownie padł na ziemię, przeklinając wrodzoną zdolność do pakowania się w wymyślne tarapaty. Przejście przez góry o tej porze cyklu było dostatecznie ryzykowane, bez konieczności angażowania w przygodę magicznych wystrzałów i zjawisk atmosferycznych.

– Na szczyny makudry – wycedził, gramoląc się z podłużnego kufra sań.

Uniósł wieko i odsłonił skóry, aby skontrolować samopoczucie młodych. Pograżone w gorączkowym letargu, ledwie nań spozierały przekrwionymi ślepiami. Magia, czy nie, musiał dostarczyć drzewiki do Erbezona, a najkrótsza droga, nawet wliczając oczywiste trudności, wiodła przez przełęcz Zębów Wirgona.

Otrzeptał się ze śniegu i poprawił uzbrojenie, zdeterminowany, aby czym prędzej ruszyć w drogę. Pociągnął sanie ze zdwojoną gorliwością, mając nadzieję, iż przed zmrokiem dotrze do obozu. Stamtąd trasa stawała się już o wiele prostsza.

Po dwóch godzinach równomiernego marszu i stopniowego ścinania wysokości natknął się na pierwszą oznakę wcześniejszej anomalii. Ciało leżało w śniegu nienaturalnie wykręcone. Poczerniałe kończyny sterczały sztywno niczym upiorny drogowskaz ustawiony ku przestrodze. Posoka dawno wsiąknęła już w podłoże, tworząc wymyślne wzory na nietkniętej kołdrze śniegu. W pobliżu nie było żadnych innych śladów. Nieboszczyk najpewniej upadł z wysokości i coś podpowiadało Garrettowi, że stało się to w wyniku niedawnego zjawiska na niebie. Świadczył o tym dziwny strój i niecodzienna fizjonomia nieszczęśnika. Co gorsza, kilkanaście metrów dalej Garrett natknął się na korpus i oszronioną płataninę rozlanych wnętrzności. Ten osobnik był o wiele drobniejszy, ciemnoskóry i dogłębnie przerażony. Martwe oczy wpatrywały się w przestrzeń, a usta zastygły w koszmarnie niemy wrzasku. Garrett rozejrzał się po otoczeniu, czując, jak włosy jeżą mu się na karku. Takie właśnie było jego szczęście, z jednej zuchwałej decyzji wdepnąć w cuchnącą masę niespodziewanych komplikacji. Miał być opanowany, obojętny i neutralny, tymczasem kilka lat temu już dawno wybrał stronę.

Nim zrobił kolejny krok, przestrzeń rozdarł ryk czegoś, co gabarytowo przerastało ogora. Garrett szczyił się znajomością wszystkich dzikich stworzeń i dotychczas nie słyszał żadnego o tak imponującej gardzieli. Instynktownie spojrzął w dal na masywną sylwetkę, nadlatującą znad Wschodniego Kła. Nie było sensu uciekać. Mógł, co najwyżej spróbować wtopić się w otoczenie spowite szarością nadchodzącego zmroku. Przysypał śniegiem siebie oraz sanie, z galopującym sercem wsłuchując się w trzepot skrzydeł i wrzaski nadlatującej bestii. Nowe gatunki o takich gabarytach objawiały się niezmiernie rzadko i zazwyczaj nie zwiastowało to niczego dobrego. Miecz trzymany w pogotowiu na niewiele mógł się zdać w starciu ze stworzeniem, którego cień przysłonił słońce. Masywne cielsko pokrywała łuska tak czarna i połyskująca, jakby gad dopiero co wytarzał się w smole. Mięiste łapy i dość długi ogon równoważył rogaty łeb z kolosalnym pyskiem. Skrzydła rozpościerały się na imponującą szerokość, umożliwiając pokonywanie ogromnych odległości. Drapieżne szczęki połknęłyby go w całości.

Gdy bestia oddaliła się, pikując w dół zachodniego zbocza, Garrett dźwignął się z posłania, czując kryształowy śniegu pod wierzchnią warstwą zbroi. Było to jednak ostatnie z jego zmartwień, gdyż kopuła nienaturalnego światła rozbiła się w oddali.

Chwycił za lejce sań, aby podejść nieco bliżej. Dość szybko pokonał szerokie połacie śniegu, czując na skórze wibrujące, ciepłe powietrze. Wrażenie było dosyć przyjemne do momentu, w którym zbroja nie przylgnęła do przepoconego ciała, a nogi nie zaczęły zapadać się w topniejącym śniegu. Zostawił sanie w bezpiecznej odległości i z grymasem na twarzy przeczołgał się pod granicę uskoku, który pod wpływem ciepła przeobrażał się w leniwy strumień. To, co zobaczył, było o stokroć bardziej niezwykle od wcześniejszego zjawiska na niebie. Posłusznie warującej bestii towarzyszył jeździec w obszernej opończy, skrzętnie przysłaniającej fizjonomię. Nie sposób było stwierdzić, czy był kobietą, czy mężczyzną, a jedynie, że odznaczał się nieprzeciętnym wzrostem, smukłą sylwetką i lekko zgarbioną posturą. W dłoni trzymał kostur zakończony połyskującym kamieniem. To właśnie on emitował kopułę jasnego światła, rozpraszającego mróz i mrok nadciągającej nocy. Poświata artefaktu otulała kolejne ciała. Garrett naliczył pięciu chłopca i dziecko, w niewielkim oddaleniu od siebie, jakby gęsiego przedzierali się przez przełęcz i jeden po drugim padli z wycieńczenia. Jeździec przechadzał się pomiędzy nimi, wykonując nieznaczne ruchy dłoni. Nie schylał się ani nie szturchał ich kosturem, a mimo wszystko wyglądał, jakby pozyskiwał informacje. Anomalia, która wcześniej rozegrała się na niebie, musiała wywabić go nie wiadomo skąd i po co, jeszcze bardziej komplikując uciążliwy żywot Gareta. Kartograf będzie przecież musiał komuś o tym opowiedzieć.

Jeździec tymczasem uderzył kosturem o ziemię, gasząc efekt świetlny i wprawnym ruchem dosiadł bestii. Chwilę później stali się malejącym punktem na niebie, podczas gdy Garrett bił się z myślami, czy przeprowadzić własny rekonesans. Zebrał się z ziemi i grzejąc skórę w pozostałościach ciepłego powietrza, podszedł do dwójki najbliższej leżących osobników. Tłusty i gorączkujący miał poważne złamanie lewej nogi. Drugi, brodaty i barczysty zaczynał powoli budzić się z letargu, a przynajmniej o tym świadczyły gwałtowne ruchy gałek ocznych. Garrett zapobiegliwie przyłożył miecz do jego grdyki.

- Coś za jeden? – spytał, gdy człek skupił na nim błękitne spojrzenie.
- *Nie rozumiem.* – Słowa brzmiały obco i dziwacznie, w pokrętny sposób pasując jednak do okoliczności. Garrett przymierzył się do gestykulacji, ale przeszkodziły mu maleńkie szczęki, które niespodziewanie wgrzyły się w nogę grubasa.

Zaskoczony brodacze odskoczył jak oparzony.

- Zani, won! To nie jest jedzenie! – Garrett warknął na drzewika, wyszarpującego kawałek skóry. – Wracaj na sanie!

Młoda wyszczerzyła zęby w beczelnym proteście, przystając z nogi na nogę, jakby rozważała, czy w ogóle wykonać polecenie. Nie była głodna, tylko żądna wrażeń i jak na obłożnie chorą wykazywała zadziwiającą nieustępliwość.

- WON! Nie żartuję!

Zani pisnęła z oburzenia, co przeraziło nieznajomego. Mężczyzna napiął mięśnie, ewidentnie szykując się do obrony.

- *Co to kurwa jest?* – wydukał, skupiając na sobie uwagę niesfornego szkraba.

Garrett stanął pomiędzy nimi, aby zapobiec możliwej potyczce.

- Nie będę powtarzał po raz trzeci! – Próbował wykrzesać z siebie jakieś pokłady autorytetu. – Możesz być pewna, że Szur dowie się o twoim zachowaniu. Chcesz sabotować ocalenie rodzeństwa? – Splótł dłonie na piersi, surowo patrząc w żółte ślepie.

Poprzetykana pnąciami buźka wykrzywiła się w grymasie. Zani odznaczała się szczególnie buntowniczym charakterkiem. Prychnęła wściekle, szczerząc maleńkie ząbki, ale ostatecznie powróciła do tymczasowego legowiska.

Niebieskooki dłuższą chwilę łypał za nią z komicznie rozdziawioną gębą, po czym odważył się zbliżyć do grubasa i skontrolować puls na tłustej szyi. Nie spuszczał oka z wieka sań, zapewne obawiając się, co jeszcze może stamtąd wypłynąć.

- Nic, z czym miałbym ochotę się użerać – Garrett odpowiedział na domniemane pytanie.
- *Muszę sprawdzić, co u pozostałych.* – Mężczyzna wyprostował ręce, akceptując przewagę Gareta, który obserwował go z mieczem w pogotowiu.

Dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami, dopóki niebieskooki nie przypomniał sobie o reszcie towarzyszy. Nerwowo rozejrzał się po otoczeniu, ruszając biegiem w stronę przytomniejącego dziecka. Poślizgnął się przy tym i zarył twarzą w roztop, co niezmiernie rozbawiło rudowłosego chłopca.

- *Ale z ciebie ciapa!*
- *Żyjesz, świetnie* – brodacze warknął, wypływając śnieżną papkę. – *Jedno zmartwienie mniej.*
- *Dlaczego nagle stało się tak ciepło?*
- *Ciesz się, dzięki temu jeszcze żyjemy.*

Chłopiec dostrzegł Gareta, przewiercając go na wskroś spojrzeniem małych, jasnych oczu, które przypominały oczy brodacza, ale rysy ich twarzy były zupełnie niepodobne. Dziecko było, mówiąc delikatnie, szpetne jak ogór i tłuste jak ciężarna brytla. Garrett nie mógł znieść tego natręctwa, więc przybrał najgroźniejszą minę, na jaką było go stać. Taką, którą zwykle przybierał, gdy musiał przedzierać się do miejskiej latryny.

- *Paweł, kto to?* – Dzieciak przylgnął do niebieskookiego, utrudniając mu zebranie się ze śliskiej nawierzchni. – *Wygląda jak Robin Hood, ale patrzy jak psychopata!*
- *To łowca niewolników i jak zaraz nie przestaniesz mnie tłamsić, oddam cię za darmo!*

Chłopiec odskoczył w bok i podbiegł do tłuszciocha, przytulając się do nieprzytomnego ciała.

Garrett miał już dość sztucznego wyostrowania wzroku, więc zamiast na młodocianym, skupił spojrzenie na brodaczu, który pozbierał się wreszcie i pomógł innemu towarzyszowi dźwignąć się z rozmokłej breji. Chwycił go pod pachy i stanowczo spionizował.

- *Paweł?* – Potrząsnął człkiem, z palcami poczerniałymi od długotrwałego mrozu. – *Ocknij się!* – Szturchnięcia poszły w parze z gorliwym nawoływaniem, dopóki udręczony człek nie uniósł spuchniętych powiek.

Z następującej wymiany zdań, Garrett nie zrozumiał ani słowa.

- *Daj mi spokój.*
- *Chciałbyś. Jeszcze nie umarłeś.*
- *Nie mam siły.*

Gdy tylko brodacz luzował uścisk, jego towarzysz osuwał się niczym śnięta ryba. Garrett nie dawał mu zbyt dużych szans na przetrwanie.

- *Weź się w garść!*
- *Daj mi spać.*
- *Pomyśl o matce!* – Niebieskooki bez wysiłku odwrócił chudzielca, wymierzając mu solidny strzał w pysk.
- *Spróbuj walnąć mnie jeszcze raz.*
- *Bo, co?*
- *Nie ręczę za siebie.*
- *Przerażające, ale najpierw musisz ustać na nogach.*

Po kolejnych trzech plaskaczach chudzielec utrzymał równowagę, wzbudzając w Garrettcie odrobinę uznania.

- *Proszę, proszę* – brodacz przemówił z rozbawieniem. – *Wiedziałem, że napędzi cię prezesowska buta.*

Pozostali dwaj intruzi także się dźwignęli, zmuszając Garettę do wzmożonej gotowości. Wyglądali jednak na zupełnie wycieńczonych i każdy z nich miał na ciele widoczne odmrożenia.

- *Gdzie Piotrek?* – Chudzielec rozejrzał się dookoła, tężając na widok Garettę. – *Co to za gość?*
- *Jakiś miejscowy. Wydaje się, że chce nam pomóc.*
- *Wydaje się?*
- *Ma dość obszerne sanie, moglibyśmy przewieźć na nich Kwidzyńskiego.*
- *I mnie* – chłopiec odezwał się ponownie, w dalszym ciągu uczepony nieprzytomnego ciała, które coraz bardziej zapadało się w topniejącym śniegu. Ubrania wszystkich przybyszów były doszczętnie przemoczone. – *Nie dam rady maszerować w śniegu!*
- *Nie udawaj, że łazłeś o własnych siłach!* – wtrącił ciemnowłosy mężczyzna, nieznacznie wyższy od chudzielca. – *Wlokłem cię jak kulę u nogi!*
- *Seba, daj spokój.*
- *Wybacz szefie, ale bachor jest zdecydowanie zbyt roszczeniowy.*
- *To jeszcze nic.* – Brodacz westchnął z irytacją. – *Nie masz pojęcia, jakie to coś jest upierdliwe, ale to nie zmienia faktu, że najślabsze ogniwo trzeba chronić.*
- *Raczej odciąć.*

- *Nie jestem najsłabszym ogniwem!* – dzieciak wrzasnął z dotkliwą dla uszu częstotliwością, po czym wskazał palcem nieruchome ciało grubasa. – *On jest najsłabszym ogniwem!*

Garett zaczynał czuć się jak piąte koło u wozu. Miał swoją misję, którą stanowczo nadwyreżył. Postanowił zostawić im trochę skór i wspaniałomyślnie wskazać kierunek do najbliższej wioski, aby inni mogli użerać się z obcymi krzykaczami.

- Mam swoje sprawy – oznajmił niezręcznie. – Podzielę się skórami i pożywieniem, bo za chwilę znowu trzaśnie mrozem.
- *Zaczekaj!* – Brodacz podbiegł do niego, wskazując nieszczęsne sanie. – *Mógłbyś nam pomóc? Wyprowadź nas przynajmniej z tych przeklętych gór.*

Garett wywnioskował, o co chodzi w mimice błagalnej i z niechęcią przyjrzał się przemoczonej kompanii dziwaków. Gdyby nie dziecko, mimo że okropnie działało mu na nerwy, odwróciłby się na pięcie, udzielając obcym minimalnego wsparcia i wskazówek. Nie mógł jednak chłopca bezwzględnie zignorować, więc przeklinając swoją wielkoduszość, otworzył wieko sań i rzucił przybyszom kilka luźnych skór, które nie składały się na legowisko chorych drzewików.

Brodacz uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń, którą Garrett zignorował.

- Nie wchodzę w żaden układ. Coś mi się nie spodoba, Zani będzie miała używanie. – Wspomnienie drzewika odniosło spodziewany efekt. Niebieskooki wyprostował dłonie na znak, że nie zamierza stwarzać problemów.
- *A tak w ogóle to nazywam się Paweł* – Wskazał na siebie i wyartykułował dźwięk będący najpewniej imieniem, którego Garrett nie chciał poznać. Potem jego dłoń kolejno wskazała towarzyszy. – *Drugi Paweł, zwany Upierdliwym, Piotrek, Sebastian, Robin i Rinudin.*

Jeżeli łudził się, że Garrett zapamięta egzotyczne słowa, był zaprawdę w dużym błędzie. Aby nie wyjść jednak na totalnego gbura, Garrett mruknął swoje imię i odsunął się łaskawie, aby brodacz mógł przetransportować tłusciocha na sanie. W międzyczasie podszedł do niego czarnowłosy intruz z ramieniem niedbale owiniętym kawałkiem szmaty.

- Czego?

Minęły całe wieki, nim obcy wydukał odpowiedź.

- Ty... Słyszeć... Ja?

Słowa, które dla odmiany potrafił zrozumieć, wprawiły Gareta w niemałe zaskoczenie.

- Ty kaleczyć, ale ja rozumieć – odpowiedział złośliwie, powstrzymując spontaniczny uśmiech, gdyż oto pojawił się cień szansy na porozumienie. Następne słowa wypowiedział wolno i wyraźnie, jakby przemawiał do osoby ograniczonej umysłowo.
– SKĄD JESTEŚCIE?

- Arg Godona Anudina. Energetyczna Brama.

Przytoczone nazwy nic mu nie mówiły, chociaż Marad i Dzikowisko znał jak własną kieszeń.

- Pierwszo słyszę.
- *Rozumiesz go?* – Brodacz zapytał z widocznym entuzjazmem.
- *Na to wygląda. On posługuje się dialektem wspólnej mowy, którą zna większość ras Wedonu.*
- *A więc to jednak Wedon!*
- *Być może jakaś niezbadana jego część.*

Garett westchnął przeciągle. Nie miał czasu na bzdety.

- Jeszcze godzina drogi dzieli nas od obozu. Ruszamy w drogę. Teraz! – zakomenderował, podchodząc do sań, obciążonych cielskim grubasa i dzieciaka, który opatulił się skórą, jak do snu. Brakowało, żeby zdmuchnął sobie świecę w sypialnej izdebce.

Garett skinieniem głowy kazał przybyszom chwycić lejce, o co wyklócali się przez następne kilka minut.

Cud, że przed zapadnięciem zmroku udało im się dotrzeć do pierwszego obozu.